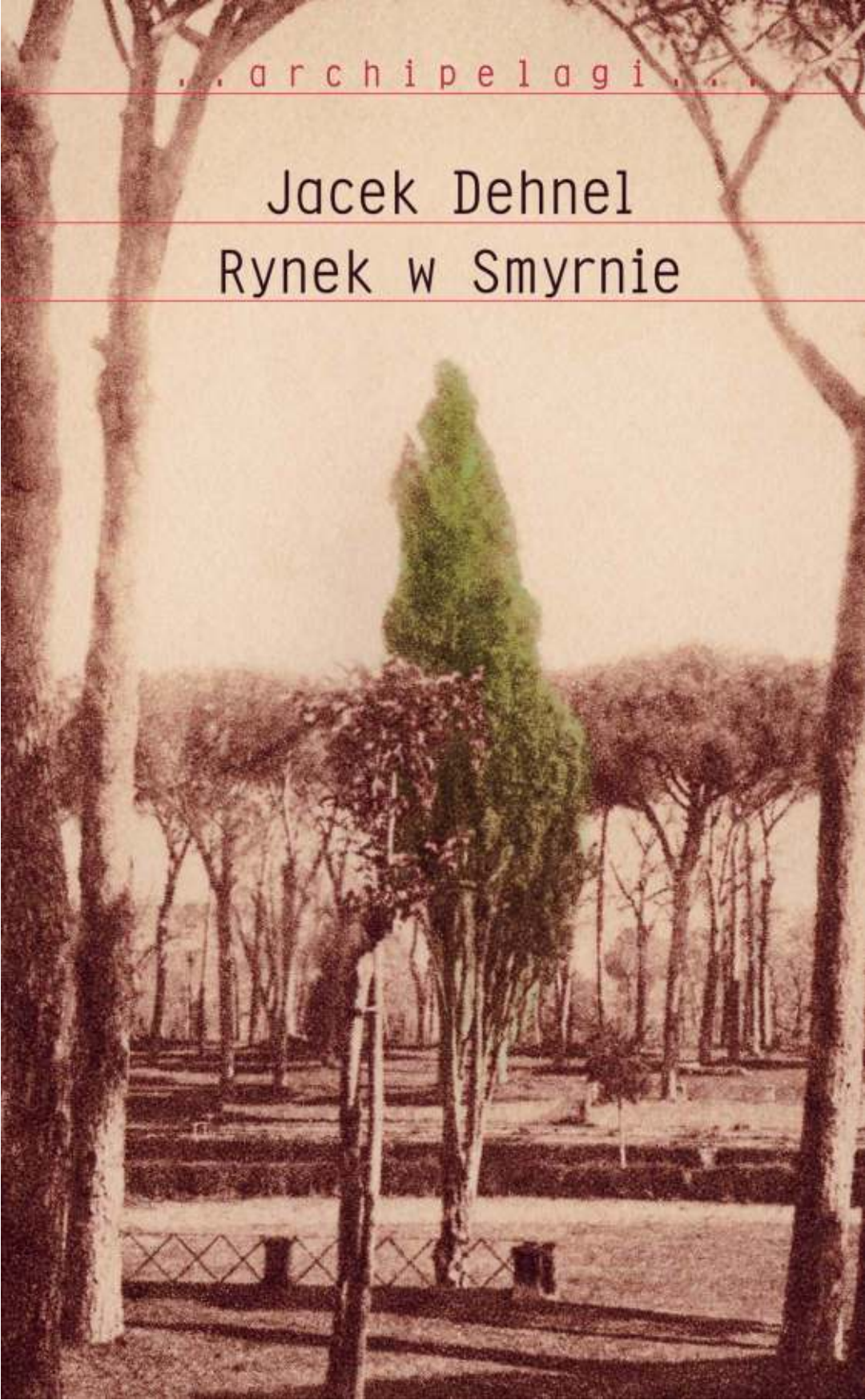


... archipelagi ...

Jacek Dehnel
Rynek w Smyrnie



. . . w serii ukazały się . . .

Dawid Bienkowski *Nic*
Jacek Dehnel *Lala*
Adam Czerniawski *Narracje ormiańskie*
Izabela Filipiak *Magiczne oko. Opowiadania zebrane*
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*
Manuela Gretkowska *Namiętnik*
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*
Mariusz Grzebalski *Człowiek, który biegnie przez las*
Radosław Kobierski *Harar*
Włodzimierz Kowalewski *Światło i lęk*
Wojciech Kuczok *Gnój*
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*
Marian Marzyński *Sennik polsko-żydowski*
Janusz Rudnicki *Mój Wehrmacht*
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*
Sławomir Shuty *Zwał*
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*
Marek Soból *Mojry*
Jerzy Sosnowski *Wielościąg*
Jerzy Sosnowski *Prąd zatokowy*
Magdalena Tulli *W czerwieni*
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*
Magdalena Tulli *Tryby*
Magdalena Tulli *Skaza*
Witold Wedeck *Czarne rondo*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Jacek Dehnel

Rynek w Smyrnie

Patronat medialny



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2007
Wydanie I
Warszawa 2007

Patrząc na Stromboli

Z morza miasto wyglądało jak termitiera, ciemna, tajemnicza konstrukcja, pod którą wyczuwa się skomplikowaną sieć przejść, stroma i gładka, o szarych ścianach umocnionych przesadnie wielkimi arkadami, jakby wyjętymi z megamanii Piranesiego. Kamień obrobiony i kamień klifu mieszały się ze sobą i łączyły w nowotwory, w których nie sposób było rozróżnić granicy tkanek. I tylko z rzadka w tej wielkiej skalnej szarości migąła – skromne ustępstwo na rzecz kolorytu Śródziemnomorza – doniczka z pelargonią, gliniany dzban, markiza w niebiesko-białe paski albo rudy kot, wygrzewający się w słońcu na parapecie okna. Okna zaś, sto czy dwieście okien, wychodziły na morze jak milcząca procesja, która nigdy nie dojdzie świątyni swego przeznaczenia (jeśli, rzecz jasna, sprawy ująć poetycko – a byliśmy akurat w nastroju poetyckim); sam środek klifu przecinały, niby puste, pionowe koryto dawno wyschniętego wodospadu, kamienne schody, ozdobione niegdyś przez jednego z minionych burmistrzów – który, jak wszyscy burmistrzowie tego miasteczka, wykazywał się fantazją na miarę W.R. Hearsta, ograniczaną jedynie przez skrom-

ne fundusze – topornymi figurami nimf i delfinów, zżeranymi stopniowo przez morską sól i sirocco.

Z miasta morze wyglądało jak Morze Śródziemne. Inne słowa nie są w stanie oddać tego rozedrganego, wielobarwnego zjawiska, cudownego w swej wiecznej niestałości. Nieco na lewo – jeśli patrzeć z punktu widokowego u szczytu schodów, małego balkoniku z kamienną balustradą i spiżowym działem z jakiejś dawno rozbitej armady czy może wyposażenia hiszpańskiej fortecy – otóż nieco na lewo, w oddali, przy dobrej pogodzie dostrzec można nad twardą, migotliwą granicą wody błękitną plamę, jakby morze rozlało się nieco ku górze, w zawilgoconą aurę. Wyżej – biały obłoczek. To Stromboli. Liza stała oparta głową o moje ramię, jedną rękę położywszy na balustradzie, a drugą oplatając mnie w pasie, i mówiła, że jej znajoma była na Stromboli i powiedziała, że to najpiękniejsze miejsce na świecie. Stromboli. Był chyba film o takim tytule. Plama nad szafirową kreską horyzontu.

Na prawo, u podnóża termitiery, widać było wyspę. Wyspę klasztorną, wyspę tylko z nazwy, która niegdyś wyrastała przy samym brzegu, z kipieli, ale teraz łączył ją z klifem wąski pas plaży.

Tak, tam też się wdrapaliśmy. Szło się znów schodami, schodkami raczej, węższymi jeszcze i jeszcze bardziej stromymi niż te naprzeciwko, schodkami wykutymi w skale – jak sądzę – również na polecenie jakiegoś burmistrza, który nie mógł już wznieść fontanny na jednym z miejskich placów ani pomnika

miejscowej osobistości na placu głównym, ani nawet ozdobić syrenami zejścia na plażę, bo wszystko to zrobili jego poprzednicy, więc choćby w ten sposób pragnął się zapisać w pamięci potomnych. Po obu stronach skała – w górę i w dół, słona i goła, porośnięta gdzieniegdzie kępkami przedziwnej tubylczej roślinności, jakimiś mizernymi opuncjami, ostatkiem sił czepiającymi się prawie pionowej ściany.

Tak, tam też się wdrapaliśmy, jeszcze pierwszego wieczora, kiedy dotarliśmy do termitiery. Pierwszego wieczora, a raczej pierwszego popołudnia wysiedliśmy z pociągu, ot tak, na chybił trafił, bo od trzech godzin jechaliśmy brzegiem morza, cypel za cypem, dzwonnica za dzwonnica, i tu było po prostu zbyt pięknie, by podróżować dalej, spytaliśmy o kempingi, zwlekliśmy się na plażę stromymi schodami, zostawiliśmy plecaki u signory, która opuściła nam trochę ze zwykłej taksy, i piszcząc z zachwytu, wybraliśmy się do klasztoru. Plaża, schodki, opuncje.

Słowiąły i zżarty klasztor wznosił się na czubku skały z uporem, ale uporem cokolwiek beznamiętnym; z coraz wyższych schodków był bardziej i bardziej podobny do prostokątnego tortu, ozdobionego u góry szeregiem fantastycznych bez. Przystanęliśmy na chwilę. Miasto i klasztor, klasztor i miasto mierzyły się kamiennym wzrokiem. Miasto z okien mieszkań i pokoi dla turystów, klasztor – ze strzelniczek i arkad.

Jak wszystkie zabytki na południu Włoch, tak i ten obsiedli tutejsi staruszkowie, wyglądający, jakby

tkwili tu od czasu wzniesienia budowli – siedzieli tu przed laty i jeszcze wiele lat po śmierci będą figurowali jako koloryt lokalny w albumie jakichś Niemców, Szwedów czy Duńczyków. Patrzyli w morze, ogorzali i spłowiali od słońca, jakby całe życie pracowali jako mechanicy w wozowni jakiegoś solarnego bóstwa.

– ...może być trzynasty wiek, może być osiemnasty – mówiłem, przyglądając się z gruba ciosanym amorkom na kapitelach i masywnym murom – prowincjonalne warsztaty, wiesz, jak to jest. Nie do wydatowania ta ponadczasowa prymitywność.

– Stary? – zapytała Liza, pokazując klasztor jakby od niechcenia, delikatnym ruchem brody, w którym było tyle Italii, tyle południa i lenistwa, że starzy od razu rozpoznali w niej swoją, choć przecież mówiła z lekkim słowiańskim akcentem.

– Stary – powiedział jeden z ogorzałych. I uśmiechnął się uśmiechem tajnego porozumienia ludzi południa.

– Bardzo?

– Oooo... bardzo – i pomachał ręką koło głowy, jakby odpędzał moskita, co w ogólnym języku południa oznaczało wielkie liczby i niewyraźalny ogrom.

– Z trzynastego wieku?

– liiiii... – piszę „iiii...”, bo tak zabrzmiał ten pomruk w moich słowiańskich uszach – z siódmego. Benedyktyński.

I usiadł ciężko na sąsiednim kamieniu, jakby się niezwykle zmęczył tą przemową.

– Z siódmego. Benedyktyński – powiedziała Liza.

– Wiem. Zrozumiałem – odparłem i objąłem ją ramieniem.

– Nie tutaj – fuknęła na mnie – nie przed klasztorem.

Weszliśmy do środka.

W toporności rzeźb, w przesadnej okazałości girland papierowych kwiatów i w jaskrawości farb, którymi wymalowano to wnętrze, widać było nie tylko smak tutejszego proboszcza, ale i smak wszystkich wiejskich proboszczów na świecie. Widać było także ich zamiłowanie do nieporządku, odświętnego chaosu – w takich miejscach zawsze się zdaje, że dzięki absurdalnemu ustawieniu ołtarzy, zbędnych feretronów i figur zapomnianych świętych kościoł uzyskuje jedyną w swoim rodzaju dostojność kościółków wiejskich, dostojność szacownej nawy w obliczu jakiegoś niesłychanego kataklizmu, wszechogarniającego bałaganu doby apokaliptycznej; jest w tym zapowiedź wylewania czasz, dęcia w surmy złote i widoku orła przemierzającego krwawe niebo z trzykrotnym „biada”. W prezbiterium stał biały, bezowaty podest z pustymi, przeszkłonymi gablotkami ze złotą obwódką, w których kiedyś trzymano jakieś nie do końca święte relikwie, dopóki nie dobrał im się do skóry – czy raczej do kości – ten czy inny weryfikator sacrum. Na podeście natomiast, w pierzastej glorii papierowych kwiatów, elektrycznych lampek i błyskających w mro-

ku wotów, wznosiła się grupa Świętej Rodziny, gipsowo-złota, cygańska i bezbożna jakaś w swoim pogańskim przepychu, Święta Rodzina przez tubylców wykorzystywana – dam głowę – w niecny sposób do kultów płodności: obfitości ryb, oliwek i północnych turystów.

Tak trwali sobie potrójnie Maria, święty Józef i Dzieciątko, gorejący aureolami, roztańczeni kontrastami, trwali w huku świąt i ciszy nabożeństw – tym cichszych, że organy od kilkudziesięciu lat milczały. Owszem, jeśli wspiąć się po drewnianych schodkach na emporę – nawet liczba schodów do przebycia w tym mieście była apokaliptyczna – można było obejrzeć sobie z bliska prospekt: małą, obłażącą z białej farby skrzynkę, niewiele większą od solidnej przenośnej katarynki z małpką i papugą wyciągającą wróżby z koszyka. W środku, jak przerośnięte szparagi, powiązane w pęczki różowymi wstążkami, śniedziały piszczalki. Obok prospektu, na wpół zakryte kawałem płótna, stały szczątki niewielkiego manualu, z którego dawno wykradziono wszystkie klawisze i gałki z kości słoniowej, odsłaniając strzępy czerwonego sukna. Jak dziaśła. Z góry Święta Rodzina, połyskująca złotymi szatami i aureolami, wyglądała już jowialniej, naprawdę rodzinnie, zupełnie jak tutejsza szacowna familia na odświętnej sumie, przyodziana w uroczyste kościółkowe ubrania i biżuterię od wielkiego dzwonu.

– Uważaj na próg.

– Tak, tak.

Z empory trafiliśmy do małego pomieszczenia, w którym – można się tego było spodziewać – siedziało przy stoliku dwóch staruszków. Za ich plecami stał roślak młodzieniec w typie lokalnego donzuana, z grubym złotym łańcuchem na szyi i rękoma w kieszeniach. Na stoliku leżała kartka z napisem „biglietti L 1000” i koszyk z pieniędzmi. Uśmiechając się uprzejmie, wrzuciliśmy dwa różowe banknoty i pochylając głowy, przeszliśmy przez niskie drzwi w murze grubym na pół metra.

Było to lokalne muzeum.

Pokryte słonym kurzem, woniejące wodorostami i murszejącym drewnem, tkwiły tutaj rozmaite starożytności miasta, starożytności na miarę jego rozmiaru i znaczenia. Na ścianach rozwieszono kilka zdjęć, przedstawiających barwne święta: mieszkańcy płyną łódkami na klasztorną wyspę, która – połączona z lądem pasem plaży – wyspą już nie jest, wynoszą z kościoła figury Świętej Rodziny i przewożą je po pogodnych falach zatoki. O, święta, ciężkie od papierowych kwiatów i lampionów, święta brnące po kolana w grząskim torfowisku wieków, święta niepamiętnie stare, poświęcone niegdyś jakimś pogańskim bóstwom: małym miejscowym posejdom i nereuszom, kameralnym okeanidom, domorosłym amfitrytom, które ich następcy – Święta Rodzina w złożonych papuciach i niedzielnych aureolach – wyparli ze szczętem z wód zatoki, o, święta skrzywdzone!

Dalej jakieś nieszczęsne rysunki, widoczki miasta szkicowane nieudolnie przez siedemnastowiecznego maniaka podróży, który dotarł tu z pewnością w jakimś globtroterskim transie, obok szeroki przegląd twórczości damskiej części elity miasteczka, królującej w okresie, kiedy akwarela po Anglii, Francji i północnej Italii i tutaj została uznana za ostatni krzyk mody. Tych przepysznych konterfektów miasta było nie więcej niż dziesięć, jeśli nie liczyć fotek rodem z folderów, gdzie stroma termitiera miasta schodziła – jak w rzeczywistości – do morza w pienistych krynolinach skał, wszystko to opatrzone podpisami, ramkami itepe. Kilka ksiąg klasztornych z przełomu wieków – stosowne ilustracje i ozdobniki – różaniec, makatka, wypisy z dzieł użytecznych. Jakaś koszmarna szerniała święta w girlandzie szerniałych kwiatów, olej na płótnie, ottocento. Słowem – co kto lubi. My raczej nic.

Jedynie fantazja, z jaką jedne salki przechodziły w inne, iście klasztorna zawilóść, przywodząca na myśl przemyślność mrówczą lub pszczelą, owe skrzypiące deski, schody, podesty, nagle zakręty i zbędne antyszambry metr na metr, wszystko oświetlone małymi okienkami w fortecznych ścianach... tak, jedynie to czyniło muzeum naprawdę zajmującym. Co innego ogród – powróciwszy do salki ze staruszkami, młodzieńcem i koszykiem z tabliczką „biglietti L 1000”, stanęliśmy przed wejściem do prawdziwie niesłychanego miejsca, prowincjonalnego rajy o gracowanych

ścieżkach, rozłożonego na szczycie niegdysiejszej wyspy: taras za tarasem, klomb za klombem – istna Semiramida z tych mnichów czy zakonnic, bo ani tu ziemi, ani wody. Ogród na łysej, spalonej słońcem i solą skale. Na końcu, podświetlony neonami, stalowy krzyż. No i tabliczki. Gdzie spojrzeć: „Uprasza się nie pisać po roślinach” lub „Pisanie po roślinach wzbronione”. Z początku – naiwni turyści z północy – rozumieliśmy to jako nasze swojskie skrobanie po korze, rycie serc przebitych strzałą na pniach parkowych buków. Nic bardziej mylnego! Tutejsi zakochani – a także, sądząc po imionach, przyjezdni – upodobali sobie opuncje. Na ich ciemnozielonych talerzach, pokrytych srebrzystym nalotem, byle patyk, byle poślednie ostrze scyzoryka potrafiło wypisać czułe słowa pod adresem jakiejś Andrei, Pauli, Giovanniego czy Christophera – a litery, w pierw ciemne, z biegiem czasu zablizniały się gruzłowato w beżowe wężyki i po wiek wieków głośiły datę, imię lub inicjały.

Ja wiem, to może wcale nie wydaje się szczególnie zabawne, te tabliczki i zryte opuncje, ale nas prawięły one w najlepszy serwali humor.

– Serwalu – powiedziała Serwalla – Serwale muszą się tu podpisać.

Kiwnąłem głową, że pewnie. O, gdyby nie te tabliczki, gdyby nie to napominanie nieustanne, pewnie dalibyśmy sobie spokój, bo ostatecznie byliśmy bardzo wykwinnymi, bardzo dobrze wychowanymi

zwierzakami, i taki wandalizm nigdy nam nie przyszedłby do głowy, ale w takiej sytuacji Serwale po prostu musiały zareagować. Ot co. Zeszliśmy na jakiś niższy taras i podczas gdy Liza wypatrywała ewentualnych stróżów opuncji, ja wycinałem dwie sylwetki serwali i podpis: „Serwale tu były”. I datę.

– Już?

– Już.

– Ślicznie. I jakie zakręcone ogony.

– Wiesz co – powiedziałem, chowając narzędzie zbrodni, miniaturowy śrubokręt, do wyśmienitego szwajcarskiego korkociągu mojego ojca, do korkociągu, który mi wręczył przed wyjazdem, jakby mi wręczał rodową relikwię albo niemający sobie równych proszek na dzikie bestie – straszną mam ochotę na te owoce.

– Ani mi się waż. Bądź co bądź, to jest klasztorne. Zjesz sobie gdzie indziej.

– Ale nie sposób do nich dotrzeć. Przyglądałem się z pociągu. Albo oberwane, albo rosną na stromych skałach, dziesięć metrów po gładkiej ścianie.

– Znajdziemy, znajdziemy.

Owoce opuncji, zwane indyjskimi figami, znałem – jak większość świata – tylko z literatury, i po prostu skręcało mnie, żeby ich spróbować. Nie były nawet drogie i na południu już kilkakrotnie widzieliśmy je na straganach sprzedawane tylko na skrzynki. I leżały tak, po trzydzieści albo pięćdziesiąt, jak żółtopomarańczowe cukierki, obrane z kolców i owinięte

kawałkami pergaminu. A nam szkoda było wydawać pieniędzy na całą skrzynkę.

Rozmyślając nad okrucieństwem losu (pod postacią niedostępności *fichi d'India*), oparłem się o balustradę, pod którą wyspa stromo zstępowała w morze pionową skalną ścianą, gdzieniegdzie porośniętą rachitycznymi trawkami i kępami wielkich opuncji. Tymczasem Liza zdążyła już poznać się z jakąś Niemką czy Szwedką i pim-pirli-pimpaliła sobie z nią na najróżniejsze tematy na sąsiednim tarasie, z którego otwierał się sąsiedni widok na morze. I właśnie miałem ruszyć na spotkanie Niemki czy Szwedki, kiedy zobaczyłem na ziemi ten piękny, przejrzały owoc, z którego i tak nic nie będzie, a obok drugi, i pochyliłem się, podniosłem, otrzepałem z piasku, uważając, by kolce nie wbiły mi się w dłonie, po czym wgrzyłem się w słodkawym miąższ, wodnisty i niezbyt aromatyczny. A jednak to była moja pierwsza indyjska figa i znałem ją już nie tylko z literatury. Podobnie jak następną. Wprawdzie kolce, cienkie jak szklana wata i piekielnie ostre, powbijały mi się w palce, wargi i podniebienie, ale i tak byłem bardzo szczęśliwym egzemplarzem człowieka.

– Coś ty robił, Serwalu, że masz taką minę? – pytała mnie Liza, skoro wyłoniłem się zza drzewa.

– Ja? – zaśmiałem się. – Nic. Patrzyłem w morze. Widzę, że miałaś towarzystwo.

– A tak, jakaś Marie, dziś wyjeżdża.

Obejrzelismy sobie taką roślinę i inną, po czym Liza spytała:

– Co ty masz taką nieszczęsną minę? Jadłeś pewnie opuncje.

– I pokłułem się.

– Serwalu – zaczęła się śmiać – a mówiłam ci, mówiłam. Jeszcze masz trochę mięszu na brodzie – i śmiała się dalej, mrużąc oczy. – Och, Serwalu. Bardzo się pokłułeś?

– Bardzo. Tu i tu. I tu. Wszędzie. I tego się w ogóle nie da wyskubać, bo łamie się w palcach. No, nieważne. Przejdzie. Jeszcze nam został taras.

– Taras?

– Widziałś, cały dach klasztoru jest płaski, ogrodzony murkiem ze sterczynami przypominającymi bezy. Skądś tutaj można tam wejść.

I rzeczywiście, przez kolejny system przejść rodem z powieści grozy – przez korytarzyki i emporę z resztkami organów, przez wąziutkie schody – dotarliśmy wreszcie na rozległy, wyłożony kamiennymi płytami taras, z wystawioną od frontu dwuarkadową dzwonnica.

Znowu patrzyliśmy na miasto: spiętrzone na łukach, jak na wielkim akwedukcie, łapało w szyby miedziane światło. Niemcy, Szwajcarzy i Skandynawowie leniwie pięli się po schodach i odrobinę mniej leniwie schodzili po nich, a nimfy i delfiny najleniwiej ze wszystkich poddawały się kojącej erozji.

Podszedłem do jednego z obelisków, ustawionych na murku obiegającym taras, i przyglądałem mu się badawczo. Wysunąłem język i polizałem.

– Są słońce – mruknąłem.

– Co?

– Bezy. Te sterczynki na murze. Zupełnie jak te na Pałacu Dożów. Zresztą, tak samo nadpsute. Zobacz, jak to się wszystko sypie, jakby kamień też rdzewiał.

– Nad morzem rdzewieje, tu wszystko się obraca w sól i piasek.

– Nie ruszaj się. Zrobię ci zdjęcie.

– Czekał. To ja się ustawię. Albo tu.

– Nie – zaprotestowałem – tak jak było.

– No, dobrze. Tutaj?

– Tutaj.

Słońce było coraz niżej. Jeszcze przed chwilą sterczyny wydawały się piaskowobiałe, teraz były jak z ciemnego granitu, a parę minut później – zupełnie czarne, na tle kiczowato pomarańczowozłotego nieba. Przynajmniej tak wyszły na zdjęciach – bo wydały mi się zupełnie nierealne, pozbawione wymiarów i barwy, bajkowe. Ale to, podobnie jak uroda Lizy, przeważnie – przeważnie! – nie wychodzi na żadnych fotografiach.

Schodziliśmy ku plaży uroczyście. Ona, niosąc w rękę kamyk, a ja, usiłując sobie wydłubać kolce opuncji z warg, dłoni i podniebienia, co najwyraźniej było niewykonalne.

Tak upłynął nam wieczór pierwszy. Choć nie, przypominam sobie, że wybraliśmy się jeszcze na krótki spacer po mieście. Trafiliśmy do jednego z tych małych, luksusowych sklepików ze specjalnostka-

mi kalabryjskimi – suszonymi pomidorami, likierem bergamotowym i wielobarwnymi cukierkami z domieszką lukrecji, a także wszystkimi rodzajami różnokolorowej pasty, marynowanych warzyw i nugatów słodkich *da morire*, jak mawiała Liza. Słoje, półeczki i przegródki, rafiowe koszyki na pękatych butlach i oklejone staromodnymi markami skrzyneczki tchnęły dostojną atmosferą zasobności i samozadowolenia, dzięki czemu jeszcze bardziej się podobały zasobnym i samozadowolonym emerytom z północnych miast, ba, dzięki czemu ładniej i dostojniej jeszcze będą wyglądały w ich wypieszczonych kuchniach, pod eleganckimi choinkami i na wypielęgowanych dobrym woskiem serwantkach. A mówię to bez złości, wbrew temu, co może się wydawać – było w nas bowiem mnóstwo czułych uczuć dla tych białych, ocienionych kapeluszami i daszkami pomarszczonych morświnów, które wyległy na posezonowe plaże Południa, gdy słońce mniej zagrażało ich sercom, a ceny – portfelom; ujmował nas ich pęd do wygrzanego piasku i wyprażonych kamieni, nawet zamiłowanie do tutejszej ceramiki, lukrecyjnych cukierków i likieru z bergamoty.

Tak więc, otoczeni przez trefione Niemki i sosnowe Szwedki, rozglądaliśmy się, odurzeni rozgrzаныmi aromatami kalabryjskich rozkoszy, uprzejmie częstowani tym i owym przez sprzedawczynie, które – dam głowę – nie wyobrażały sobie, że sprzedadzą nam cokolwiek.

Nasze ubrania, nasze włosy i rzęsy przesiąkały intensywną, anyżkową słodczą lukrecji, nasze odwykłe od przyjemności nozdrza wypoczywały w aromatach likierów i pesto. Przechodziłem od półki do półki i oglądałem etykiety naklejone na pękate słoiki, przyglądałem się zmiennym barwom i konsystencjom sosów, uśmiechałem się do wianuszków suszonych pomidorów. Tymczasem Liza rozmawiała jak najęta ze sprzedawczynią, chichotała, to znów słuchała uważnie. Była to – wiedziałem o tym doskonale – sprawnie przeprowadzana akcja wywiadowcza, bowiem Serwalla – trzeba jej to przyznać – przyćmiewała Matę Hari na wszystkich frontach, wyciągając od potulnych i niczego niespodziewających się tubylców całe pęczki niezbędnych nam informacji.

I tak panienka od lukrecjowych cukierków opisała nam osobliwości miasta, rzuciła kilka strzępków legend, wyjawiała sekrety kilku dam, a oprócz tego powiedziała, gdzie plaża najprzyjemniejsza, gdzie dają najlepsze lody, najlepszą pizzę i jak wyciągać kolce opuncji – oliwa! trzeba przetrzeć skórę kłębkim waty skropionym oliwą.

A potem była noc – i była bardzo. Zstępowaliśmy na plażę między nimfami i delfinami w rozsypce – schody skręcały raz w lewo, raz w prawo, serpentykami, od czasu do czasu rozszerzając się w otoczony kamienną balustradą balkonik, z którego turyści spoglądali na morze i pstrykali sobie pamiątkowe zdjęcia. Ale o tej porze było tu zupełnie pusto, wiatr targał po

żwirze torby po chipsach i plastikowe kubki, a rzeźby w samotności oddawały się erozji.

U podnóża skały objęliśmy się ciasniej i tak zanurzaliśmy się w słodkiej jak lukrecja perspektywie nadchodzącego snu.

Kemping zaprojektowany był w guście pruskich ogrodów – równe szpalery szczupłych drzew, krzyżujące się pod kątem prostym, dzięki czemu tworzyły regularną sieć pni, jakże pomocnych przy rozwieszaniu sznurów na bieliznę i przy podwiązywaniu odciągów namiotu. Oprócz tego szeroka aleja środkiem, poprzeczne dróżki pośledniego sortu w poprzek, wszystko to proporcjonalne i odmierzone – mały Poczdam. Tylko na rubieżach, w okolicach pryszniców, toalet i pralni, teutoński dryl ulegał swobodzie południa – tu cudem jakimś przetrwało kilka bergamot i drzew obsypanych pomarańczowymi owocami, przypominającymi skrzyżowanie jabłek i pomidorów. Wiedzeni instynktem, właśnie tam rozbiliśmy nasz namiot. Pod osłoną nocy, bardziej z przekory niż z głodu – ale i głód był tu nie bez znaczenia – zrywaliśmy parę owoców i zajadaliśmy je z zadowoleniem dzieci z dobrych domów, które zdobyły się na podkradanie zielonych bergamot, w których zresztą więcej jest cierpkich olejków niż równie cierpkiego soku.

O, bergamoty! Wiedziałem, że ich esencja nadaje smak earl greyowi, wiedziałem, że w dawno wyciętym sadzie mojej praprababki, który otaczał jej dawno zburzony dwór, rosły grusze bergamotki; wiedziałem